

Elżbieta Kozłowska-Świątkowska*

Do tego domu przychodzę tylko we śnie...¹

W moim starym, kresowym domu, do którego przychodzę tylko we śnie, bywało jak u Babci na imieninach – ciepło i familiarnie. Wówczas wszyscy moi śp. Domownicy stawali mi przed oczyma, każdy z dostojnością piastując listy, ryngrafy, fotografie. Często myślę, że kiedyś będę musiała zdać im rachunek z całego życia i opowiedzieć o świecie, jaki zostawili Oni, a jaki otrzymałam ja. I nie będę musiała się z tym opowiadaniem spieszyć, bo będziemy mieli przed sobą bezmiar czasu, czyli wieczność. A może już w ogóle nie będziemy mieli do czynienia z czasem... I podziękuję im za światło, które wniesli w moje życie, a które nieustannie iluminuje pamięcią, miłością, dobrem zataczając z biegiem lat coraz większy obszar – od ogrodu „pierwszych słów” w dzielnicy Skorupy (ulica Nowowarszawska 32) po kwartały coraz dalsze i bliższe zarazem rozpoznaniem, tradycją, ale wszystkie w obrębie Starego Białegostoku – miasta wielu kultur, religii, obyczajów, kalendarzy i architektury, wspólnego wojowania i wspólnego świętowania. Przeglądając archiwum domowe (pięć pokoleń białostoczan) zauważyłam, że zewsząd emanowało poczucie wspólnoty w tej różnorodności. Wśród listów, księgi domu, kartek okolicznościowych

* Elżbieta Kozłowska-Świątkowska, pisarka, poetka, edytor i biograf.

¹ W tekście opublikowano wiersze ze zbiorów: *Do tego domu przychodzę tylko we śnie* (1999) i *Zapachy dzieciństwa* (2003).

„Z powinszowaniem Imienin” – było źródło o dobrym sąsiedztwie, wzajemnej pomocy, przymierzu na śmierć i życie, Polsce...

To mój przewodnik po labiryncie pamięci wiernej i skupionej w poczuciu wspólnoty – nie przeciwieństw; miłości – nie konfliktów.

Tak z mapą wytyczoną w „wielkim lustrze nieba” wędruję szlakiem „Ciszy serca. Ciszy pamięci” (o którym mówił Jan Paweł II).

Wciąż pielęgnuję przykazanie, które z częstochowskim Aniołem Stróżem wisiało nad moim łóżkiem „Kto żyje uczciwie – ten żyje bezpiecznie”. Ta nadzieja starcza mi za cały Dekalog, jak też kilka wybornych złudzeń, które wzięłam na zapas z Domu rodzinnego – zapas na długi czas, a może w ogóle na wszelki czas pozaprzeszły i pozaprzyszły.

Wiem, każdy chce wrócić tam, skąd wyszedł – do domu. Ale Domownicy już dawno usnęli. Bezpowrotnie. Na szczęście – przechowałam obrazy świetności i daty paru dobrych dni. Wiem, że dziś trwałe okazuje się jedynie wczoraj, którego i tak już nie ma...

Rozsiadł się przeszło
sto lat temu.
Drewniany, kryty
ochrową dachówką
z białym gankiem
i oszkloną w czworobok
werandą
od ogrodu.
Bielił się zimą.
Śnieg
układał się miękko
w rynnach
i okapach.

Szczodry mróz skrzypiał
w alejach sadu...

ileż to razy zasiadaliśmy
pod wielkim dachem nieba
motyle krążyły przekornie wokół stołu
na którym lekko pachniał miód

wiele spraw było jeszcze przede mną

ścieżką usypaną tłuczoną dachówką
szła Babunia w odświętnej sukience
niosąc do altany szafranową szarlotkę

lato lśniło między konarami
a w hamaku spokojnie mógł spać czarny kot

dzisiaj jakoś muszę sobie radzić
choć słowa ciężkie jak kamienie...

Przepis Prababci na szafranową szarlotkę

„Pół funta ładnej mąki sparzyć dwiema łyżkami ukropu, dodać ćwierć funta młodego masła, dwie łyżki cukru i zagnieść to razem, bacząc zawsze na to, iż tylko z dobrych produktów wydają się pyszne wypieki. Ciasto robić w zimnym miejscu, rozwałkować cienko, ile się da. Włożyć w środek poprzecznie uduszone, drobno krajane jabłka zmieszane z cukrem, młodym masłem, rodzynkami i utłuczonym szafranem. Jabłka powinny być zimne zupełnie, bo inaczej robi się zakalec w cieście. Nałożywszy ich pełno, posypać bułką, przykryć ciastem i wstawić do dobrze nagrzanego pieca. Na wierzchu położyć masła młodego i przekłuć ciasto w kilku miejscach, aby nie zwilgotniało od pary. W piecu musi stać blisko godzinę”.

Ogród i sad tworzyły jakby deltę okoloną
starodrzewem bzów, kasztanowców,
to stamtąd przybywał Święty Mikołaj,
spośród oszronionych chochołów.

A śnieg zsiadał się na okiennicach
i starych pniach...

Pod nagrzanym kasztanem, w nawie ogrodu,
leżał spory kamień. Strażnik zapisków,
listów, metryk, ksiąg domowych
zatrzaśniętych w kuferku zakopanym
Bóg wie przez kogo z domowników.
Czasami spośród uchylonych gałęzi
opadał krótki promień słońca.
Kiedyś, jako mała dziewczynka
zapytałam Prababcie Pelagie o dziwny,
lekkowilgotny zapach kartek...
Przesuwając dłonią po cienkich jak azur stronach szepnęła:
„w krwawym polu srebrne ptaszę,
poszli w boje chłopcy nasze, hu,
ha, krew gra, duch gra, niechaj
Polska zna jakich synów ma...”

w sadzie bije źródło
z biegiem czasu
słyszę nasze głosy
wiatr roznosi je po nagrzanym jabłoniach
i zapada w sierpniowym zmierzchu
słyszę miękkie kroki Babci
niosącej jeszcze dymiącą herbatę
z lukrecji i malin na przeziębienie

ktoś zgasił światło

lubię dom o szarej godzinie
i polnego konika
w przeźroczystym kubraczku na framudze okna

mówisz

lato wypala się na rusztach
ciepły wiatr zawadził o pokrzywy
„Tobie ziemia
Tobie morze
Tobie śpiewa żywioł wszelki
Bądź pochwalon, Boże wielki”

Dziadkowi Konstantemu

I znowu
wiosna
nawieje zapachów
i ptaków

za ulicą
w ogrodzie sąsiadki
ostatni śnieg
zbiera sadzę

wygasa zima
w kuchni

za tydzień
Palmowa Niedziela
w dzbanku
nabiegły pędy wierzby
łowny zmierzch nastaje później
pachnie krochmalem, octem,
cebulnikiem

Wielkanoc

wypełniło się Słowo

I znowu
zasiedliśmy do stołu

Alleluja

Na zawsze
pamiętać będę

taki czas

Babci Zofii

po tylu latach
gładzisz mnie po włosach Babciu

Twoje dłonie są pełne światła

mówisz

miałam wielkie szanse
by wyjść na ludzi
i Muzom składać dziękczynienie

pochylasz oczy

na sukni poprawiasz cienie
i przypinasz kameę

„Ej wojenko, wojenko cóżeś ty za pani
że za tobą idą chłopcy malowani

...

wojenko, wojenko, co za moc jest w tobie
kogo ty pokochasz
w zimnym leży grobie”

tymczasem zapadło się echo
posiwały sztandary

wyschły słowa
odeszli
chłopcy malowani

Moim Pradziadkom

nie mów
z ustami pełnymi bólu
weź ze sobą światło
duży półmisek do ryb na Wigilię
żeliwny ryngraf Pradziadka
kilim znad łóżka
Jezusa w Ogrójcu
podróż przed nami niesłychana
spójrz
podmokłe łąki
skrzą się
w wielkim lustrze nieba

Zimą wczesne niebo przyjmowało odcień
ultramaryny. Ogród cichł. Smukłe gałęzie
brzoź bieliły się jak w lukrze. Mróz
układał arabeski na starych pniach.
Rumiane słońce rozchyłało zasy,
w których zastygły ubiegłe ślady...

Na wiosnę wynajmowano sąsiada z naprzeciwka do orania
pola. Przychodził z pięknym gniadym koniem. Koń szedł
wzdłuż dawnych bruzd i zawracał na starym warzywniku

przed sadem. Równiutkie zagony opadały do rzeki i pachniały świeżą, rześką wilgocią. Po pracy gospodarz przyprowadzał konia do studni.

Słońce marszczyło się w toni i na grzbiecie Gniadego. W miejscu po wyciętych pokrzywach leżał worek z owsem. Dziadek Konstanty wychodził na ganek i zapraszał Antoniego na ulubione bliny ze śmietaną i kieliszek jarzębinówki...

Jarzębinówka

„Przemarzłe nieco jagody jarzębiny podpiec trochę na blasze w letnim piecu, nalać dobrą wódką tyle, aby je objęła i postawić w słońcu na sześć tygodni. Gdy naciągnie, zlać z jagód do smukłych karafek. Używać roztropnie i wedle toastów”.

na Bojary chodziłam przez pola
nad Dolistówką
po nogach muskało mnie szorstkie żyto
kąkol purpurowy wychodził i tak na swoje

ileż chciałam tobie wówczas podarować

„Rachela i Abram –
poznaliśmy się w szkole przed wojną

zginęli 16 sierpnia 1943 roku
w getcie przy Jurowieckiej

wciąż o nich pamiętam”

zanotowała moja Mama

Jakubowi

przyszedł czas
by spojrzeć

(z przeszłości jestem dumna
pisała Babcia Zofia)

w mediach wciąż mówią
o sprzymierzeńcach
dają dobre rady
zmieniają kolory
jak trawy na horyzoncie

chciałabym żebyś usłyszał
melomana słowika
w jaśminie zawrotnie białym

synku

wiatr się starzeje
i pamięć

lubiłam rozmowy do świtu na werandzie
brzask rozświetlał słoje jagód posypanych cukrem
a pod okapem wiły się jaskółki

kto wie
może trzeba było zagłuszyć
pasje i triumfy
wyrzec się ciała i duszy
złorzeczyć wrogowi

tymczasem
ulice płyną marszami milczenia
któż z nas zostanie pod nieba skłonem

Dom zaczynał się wcześniej.
Wszyscy spotykaliśmy się w kuchni
z kaflowym piecem.

ogród rozpoczął się tuż za gankiem
białym o każdej porze
wabił mnie zapachem owocowania
i deszczu
w dziupli rosochatego kasztanowca szeptałam tajemnice
i Słowa Pańskie

w sadzie
słońce nadawało starym drzewom
świeży blask

moja zapobiegliwa Babcia
mówiła
„pilnuj, by choć marzenia
nie zostały upokorzone”

najmocniej pachniał czarny bez
trochę cierpko
niezwykle słodko rezeda
za furtką od warzywnika
wiosna unosiła się wiatrem
nad podziw soczystym

dwa jazy przedzielały łąkę
rzeka płynęła
odbijając światłocienie

Dziadek Konstanty
zapisał:
„moim Przyjaciołom
Gimnazjalistom
poległym w bitwie 1920 roku
niech Wam ziemia lekka
jak nowy dzień
będzie”

Urokliwe były świty zimą. Podpatrywałam je na werandzie, skąd roztaczał się widok na trzy strony mojego świata: aleję róż, kasztanowce i dziką gruszę. Każda z nich była pełna dziwności, zagadek. Kiedy dzień się na dobre rozchylił, sikorki chmarą obsiadały krzewy. Zlatywały też szczygły i gile, kryjąc się pośród gałęzi dzikiego wina, którym omotana była studnia w ogrodzie.

Spizarnia. Chłodna, nieco mroczna
ze skrzypiącą podłogą.
Uwielbialiśmy tam bywać.
Na półkach pyszniły się konfitury,
pikle, nalewki...

Wiśniówka

„Dwa garnce wiśni utłuc razem z pestkami w mordercu kamiennym. Zalać garncem spirytusu, dodać goździków, łut cynamonu, pół funta wanilii. Gąsior zatkać wyparzoną korkiem i postawić na słońcu na cały miesiąc. Potem przecisnąć przez lnianą serwetę, zrobić syrop z czterech funtów cukru i wymieszać. Postawić w ciepłe do czasu aż męty opadną.

Wtenczas precedzić przez bibułę i rozlać do pięknych, przezroczystych karafek, aby całą nutę ukazały.

Popijać wolno smakując i na strzemiennego”.

po drugiej stronie domu
parkan
wąski trotuar
ulica
wczorajszy dzień

bryczka
pachnący sznur grzybów
ziół na przeziębienie
leśniczyna Sabina
z czarnolasu
Królowego Mostu

„tędy szli niosąc
umarłe już imiona
krzyżyk ulepiony z chleba

widziałam
17 września 1939 roku”

Zofia K.

Wujaszкови Staszкови
jakby ktoś bliski znowu
trzymał mnie za rękę

z dachu altany puszczałyśmy
bańki mydlane
mieniły się w powietrzu
jak tęczowe kule chiromantki

moja pamięć pięknieje

poprzez łąkę biegła ścieżka
lubiłam wędrować
jaskrawe kwiatostany przyciągały roje
drżąca pliszka mrużyła oczy
z nieba spadało babie lato

dzisiaj unikam emocji
słowa trzymam w karchach

doprawdy nie jestem w tym pojętna
(architekci urody)

poprzez łąkę biegnie
czarna połyskliwa dwupasmowa jezdnia

„tak łatwo można z tego życia odejść”

żyj szybko i z ciekawością cudzoziemki

P.S. tej wiosny sad wyglądał jak na wydaniu,
powróciły szpaki

twoja M.

„jakże kocham ten dom
niosłam go po drogach wygnania
wracałam zewsząd
do upojnego zapachu
w porze konfitur
byłam daleko
cierpiałam mrocznie

Boże niech ocaleje
Bóg mnie wysłuchał”

piisała Prababcia Pelagia

czasem uśmiecham się

na przyćmionych konarach
osiadły synogarlice
płochy
w czasie krzątania czekały psy
słońce podnosiło trawy

Babcia podnosiła oczy
kolejny list

wiedziałam
że Pan Cogito
ma utrudniony powrót
do ojczyzny

upalny dzień
unosił się w kurzu
i zapachu lodów
ptaki od rana śpiewały
w rozłożystej akacji

w starej alei parku
wędrowny kramiarz
rozkładał swój wabiący majdan
cekinowe laleczki
kartonowe pierroty
indiańskie pióropusze

tuliłaś mnie serdecznie
i powierzałaś
Aniołom Stróżom

powracam tutaj czasami
niełatwo
dopłynąć do drugiego brzegu
biały cień rozkłada się jak mgła
i przywodzi tamto zacisze

od tylu lat przeglądam się
w obcych lustrach

Po kolacji zbieraliśmy się w pokoju
na długą gawędę o lekturach.
Czytano Mickiewicza, Żeromskiego,
Rodziewiczównę, Kraszewskiego...

Prababci Pelagii Mirskiej

byłam tam
widziałam skulone oczy
kiedy je upychałam w koszu
z cuchnącą szpitalną bielizną

przy ulicy Polnej czekali nasi
a potem
Wasilków, Pietrasze, Michałowo, Jałówka

pytasz
czy się bałam...
nie pamiętam
strach ma wielkie oczy
ja widziałam tamte

no... nie byłam młoda
nie czekali na mnie poeci
iluż ich było...
Chawe, Sonia, Fajba, Jaszpe, Jejeł, Maszka

twoja mama bawiła się z nimi
na podwórku

nie pisz tego

zapamiętaj

nie mów o mnie głośno

w moim pawiookim ogrodzie
chowam dawny skrawek nieba
żał za dzieciństwem
wybijałam jak dziewanny
szkaplerz z Lourdes
kolorowe szkiełka
którymi puszczałyśmy zajaczki
pędząc za latawcem
po rudej łące

kto je policzy
zielenice, ogrody, łągi
lubiłam wyprawiać się do Zwierzyńca
rudego, rdzawego
kiedy jesień zwiewna
zajmowała po kolei drzewa
dzieliła las na plamy
coraz bledsze, coraz dalsze
a kruche pajęczyny wibrowały
na mchu widłaku
las był
był odkąd pamiętam

„Imię nasze pójdzie z czasem w niepamięć
i nikt nie wspomni naszych poczynań.
Przeminie życie nasze jakby ślad obłoku
i rozwieje się mgła,
ścigana promieniami słońca
i żarem jego przybita”.

(Księga Mądrości 2,4)

na roztozczach
przyklekły mgły

znieńacka wzleciał miedziany bażant

Pradziadek zapisał:

„tam, na tamtej ziemi
prosiłem Boga o śmierć cichą
niekiedy wydawało mi się
że nawet zioła
wstrzymały oddech wonny

ból w sobie noszę
nie potępienie...”

dzieciństwo

okamgnienie

pachnie karmelkowym lizakiem

zbiera się na deszcz
grafitowe niebo
weszło do przedpokoju
wiatr przyłgnął liściem
do okna w kuchni

na kolację będą leniwe pierogi z miętą

Przepis Babuni na pierogi z miętą

„Funt świeżego, nie zwarzonego twarogu wycisnąć dobrze z serwatki. Rozetrzeć w donicy łyżką masła i czterema żółtkami, wsypać trochę soli, łyżkę pszennej mąki, łyżkę świeżej posiekanej mięty, a gdy to wszystko doskonale uwiercone, ubić białka na pianę, wymieszać z lekka, wyrzucić tę masę na stolnicę grubo posypaną mąką, utarzać w mące i krajać ukośne kawałki. Gotować na ukropie w dużym rondlu, dopóki nie wypłyną. Wyjmować łyżką durszlakową, a na półmisku polać świeżym, gorącym masłem z bułeczką”.

Wujaszkwowi Staszkwowi

wszystko wezmę na siebie
pewność i niepewność
znaki na niebie
marzenia na ziemi
niepłonną nadzieję
proroctwa
i fortele

w jadalni
graliśmy w berka
stłukłeś wazę
ale na szczęście
schowaliśmy się
u Pana Boga za piecem

to było

figlarny pająk huśtał się
na gałązce
i mizdrzył do pąsowej malwy
urodziwe słońce
rozniecało dzień
– na tym świecie pełno samozwańców albo pustelników –
mówił sędziwy Nikodem
i popijał wodę z malinowym sokiem z saturatora
– a ja wertuję Sybillę
sięgam po Apokalipsę i Aureliusza
zbieram znaczki
odpieram zarzuty

i od dawna spotykam się
z królewną, która sypia na ziarnku grochu

ciekawi mnie
jak żyjesz Babciu

po tym wszystkim
na pewno jesteś w niebie
układasz pasjanse
chodzisz do manikiurzystki
podziwiasz Świętego Jerzego
i akwedukty w Rzymie
po południu pijesz małą czarną
kieliszek wiśniowego likieru

a jak się miewa Dziadek Konstanty

– dziękować Bogu
uprawia skrawek nieba
dokarmia wróble

choć zimy u nas lekkie

Mojej Mamie

odchodzę w ten dawny czas
unoszący się wonią anyżowych ciasteczek

jesienią słońce jest już nisko
kładzie się daleko po pokojach
dzień ciepły i cichy
dzisiaj nie idę do szkoły
dzisiaj jestem Sophia Loren, Liz Taylor
a może Brigitte Bardot
wkładam Twoje za duże „szpilki”
taftową sukienkę
tę czerwoną w białe groszki (pamiętasz Mamo...)

maluję usta, kąciki oczu
robię słodkie miny

jesteś zuchwałą

mówisz

Anyżowe ciasteczka

„Pół kwarty mąki, osiem łutów masła, cztery łuty drobno utłuczonych migdałów, jeden łut utartych ziaren anyżu, ćwierć funta cukru, jedno jajko zagnieść razem. Rozwałkować, wykrawać okrągłe placuszki. Piec w piecu do zarumienienia. Kiedy złociste i wydają się pyszne, układać na szklanej paterze i nałożyć na wierzch konfitur z agrestu”.

Pamięci Ojca

wracaliśmy groblą
psy pobiegły do domu na skrót
na przydrożnym niebie wiły się jaskółki

weszliśmy od strony werandy

w sadzie
stare drzewa zaczerpnęły powietrza

powiedziałeś
„nie mam codziennego domu
wciąż rozmyślam
o błędach, patriotach
zbiegach sprawiedliwych
i okoliczności
a ty nie możesz tego pojąć”

jak zwykle
na krótko przed podróżą
zasiedliśmy do stołu
pachniało ogniskiem domowym

Wujaszкови Staszкови

chwytą mróz
słońce ledwie przebija na niebie
Adwent
chętnie chodzę do fary
i przyglądam się ustawianiu szopki
wół i osioł są prawie mojej wysokości
a gipsowy Jezusek otulony prawdziwą pieluszką
uśmiecha się
uśmiecha się naprawdę
wracam do domu
po drodze zachodzę do szewca
za uchyloną kotarą na ścianie
wisi haftowany atłasowy bucik
niżej na taborecie stoją kamasze, trzewiki, czółenka
obok blaszane pudełka z żywicą, woskiem,
terpentyną, szelakiem

wracam
na białym ganku tężeje świerk
w domu
jest niezwykajnie ciepło, pachnie makiem

blask latarni z naprzeciwka osiadł na ulicy

i grzybami

i starym klonie

wieczór zapadł się w odświętnej ciszy
nawet w najdalszym oknie płonie światło

Boże Narodzenie
nigdy nie było
niczego tak blisko

w pokoju z etażerką
pełną pamiątek z Południa
książek, naftowych lamp
kart do pasjansa, tęczyowych rybek
i kruchego śniegu zatrzaśniętego między szybami
Dziadek Konstancy opowiadał nam
o Dewajtis, Świętym Jerzym
i gołęmbim sercu

wzięłam stamtąd
kilka wybornych złudzeń
miłość
przyjaciół
przepis Babci na świąteczny piernik
to całkiem spory dobytek
byłam dorosła
kochałam bez wątpliwości
mówisz
wyglądasz po ludzku
i lepiej znosisz obelgi

wbrew pozorom
zmieniło się niewiele
ta sama aleja
ta sama latarnia

staroświecka brama
wyblakły kot podrzutek
tylko sąsiadka z naprzeciwka
już nie pierwszej młodości

czernieje droga w deszczu
deszcz obmywa sztachety
grzęznę w pamięci
próg zapada się w życiorysie
spod kropel przebija zapach mięty i wiatru
taki szmat za nami
że już nikogo nie żal

nie weszłam tam jednak
nie mogłam tego uczynić dyskretnie
ktoś nieznajomy wyniósł mi krzesło
usiadłam na brzeżku
rozczyły się chciwie
ogród maleńki
wycięte bzy i jodła
a tam, gdzie rosły renklody miodowe
jaśmin i jabłonka
stoi pawilon z obcym neonem
i nagle przez wpółuchylone
okno w kuchni
poczułam zapach
zapach dzieciństwa